

CZAJTA

CZASOPISMO I. BRYGADY

"Outpost," Periodical of First
Polish Brigade

STRZELCÓW

15/25 Października 1940
15th-25th October 1940

KSIAŻĘ KENTU GOŚCIEM I-SZEJ BRYGADY

*W dniu 27-ym września JKrólewska
Wysokość ks. Kentu odwiedził naszą
Brygadę. Na fotografii widzimy ad
lewej gen. Kukiela, ks. Kentu, gen.
Regulskiego i gen. Paszkiewicza.*



fol. Prytyś



*I am very pleased to have been able to
come & see you to day & want to tell
you how much I am impressed
with your smartness & efficiency.*

George

*Polskie tłumaczenie autografu ks. Kentu brzmi następująco: "Sprawiło
mi wielką przyjemność, że miałem możność przybyć tu i widzieć Was
dzisiaj. Chciałbym powiedzieć Wam, że jestem pod silnem wrażeniem Waszej
dziarskiej postawy i sprawności."*

WÓDZ NACZELNY JEST Z NAS ZADOWOLONY

*Po wizycie w 1-szej Brygadzie
Strzelców ks. Kentu przesłał Naczel-
nemu Wodzowi gen. Władysławowi
Sikorowskiemu odręczne pismo, w którym
podkreślił, że dziarska i piękna pos-
tawa żołnierska Wojska Polskiego
zrobiła na JKrólewskiej Wysokości
głębokie wrażenie.*



*Wódz Naczelny, który w dniu
wizyty ks. Kentu wśród nas zajęty był
konferencją z premierem Churchill em
w zasadniczych sprawach, dotyczących
Armji Polskiej,—nie mógł niestety
osobiście pokazać ks. Kentu osiągnięć
swoich oddziałów. W rozmowie jednak
z dowódcą 1-szej Brygady Wódz*

*Naczelny wyraził radość z dobrej
postawy żołnierskiej naszej Brygady.*

*Pochwała z ust Wodza Naczelnego
napewno nie trafi w próżnię, lecz
stanie się bodźcem do dalszych osią-
gnięć i dalszego doskonalenia się w
słuzce wojennej.*

BIBLIOTEKA POLSKA POSK
LONDYN

ROMAN PIOTROWSKI

KSIĄŻĘ KENTU

Książę Jerzy Edward Aleksander Edmund, Duke of Kent, Earl of St Andrews, Baron Downpatrick, K.G., K.T., P.C., G.C.M.G., G.C.V.O., R.V.C.—urodził się w Sandringham dnia 20 grudnia 1902 r. jako czwarty syn króla Jerzego V.

Swoją karierę wojskową rozpoczął Książę Jerzy w marynarce królewskiej, w której otrzymał w 1926 roku stopień porucznika. W roku 1934 został Książę Jerzy komandorem, a w roku 1937 kapitanem marynarki królewskiej. W 1937 roku otrzymał Książę Jerzy nominacje na pułkownika armii lądowej. W tym samym 1937 roku został Książę Jerzy kapitanem lotnictwa królewskiego /Royal Air Force/, a w roku 1938 honorowym komandorem eskadry bombowców Nr. 500 z hrabstwa Kentu. W roku 1937 powołano Księcia Jerzego na osobistego adjutanta króla oraz wprowadzono go jako członka do Królewskiej Prywatnej Rady Honorowej.

Poza służbą wojskową i urzędową publiczną bierze Książę Jerzy równocześnie szczególnie żywy udział niemal we wszystkich dziedzinach życia społecznego swego kraju.

I tak w kościele szkockim Książę Jerzy od 1935 roku zajmuje wybitne stanowisko Lorda—Wysokiego Komisarza tegoż kościoła.

W tym samym roku brytyjskie Towarzystwo dla zapobiegania okrutnemu traktowaniu dzieci obrało Księcia na swego prezesa.

W roku 1936 został Książę Jerzy prezesem Królewskiego Kolegium Muzycznego oraz znanej Szkoły Brytyjskiej w Rzymie.

W 1937 roku powołała Księcia na swego prezesa brytyjska Liga Zamorska.

Kierując się troską o jak najwyższy poziom szpitalnictwa brytyjskiego wchodzi Książę Jerzy w skład rad nadzorczych licznych szpitali brytyjskich.

Dzięki zainteresowaniom Księcia w rozwoju pracy uniwersytetów brytyjskich Książę Jerzy uczestniczy w radach licznych uniwersytetów jako ich członek albo przewodniczący. Szereg uniwersytetów brytyjskich odznaczyło Księcia tytułem doktora /LLD/ honoris causa, między innymi uniwersytety w Edynburgu /1929 rok/, w Sheffield /1930 r/ i w St Andrews /1936 r/.

Obok licznych najwyższych odznaczeń zagranicznych posiada Książę Jerzy wszystkie najwyższe odznaczenia brytyjskie.

Dnia 29 listopada 1934 roku poślubił Książę Jerzy w katedrze opactwa Westminster księżniczkę grecką Marynę. Dnia 9 października 1935 r. Książę stał się szczęśliwym ojcem syna księcia Edwarda Jerzego Mikołaja Pawła Patricka. Dnia 29 grudnia 1936 r. przybyła córeczka—ks. Aleksandra Helena Elżbieta Olga Christabel.

Tytuł "księcia Kentu" łączy się z panującą rodziną królewską od dawnych czasów. Poraz pierwszy

nadał go król William I swemu przyrodniemu bratu biskupowi Odo. W 1798 roku nadał ten sam tytuł król Jerzy III swemu czwartemu synowi księciu Edwardowi, który był ojcem późniejszej królowej Wiktorii.

Ta znów po śmierci ojca w roku 1820 nadała tytuł księcia Kentu swemu drugiemu synowi księciu Edynburga. Ze śmiercią tegoż w 1900 roku tytuł ten zgasł a odżył znów dnia 12 października 1934 r., w którym

otrzymał go książę Jerzy.

Na zakończenie niech nam wolno będzie przypomnieć, że Książę Kentu od lat bardzo żywo interesował się Polską i często bywał Kraju naszego najmiłym Gościem.

ZNACZENIE WIZYTY KS. KENTU

[jl] O Księciu Kentu wiemy więcej, niż o innych członkach Rodziny Królewskiej. Z tej prostej właśnie przyczyny, że odwiedzał On Polskę i zawsze był Jej przyjacielem. Dlatego też wizyta Jego w 1. Brygadzie była dla wszystkich żołnierzy uroczystością miłą, na zawsze pamiętną i budującą. Budującą dlatego, że świadczy niezbicie, iż w chwilach dla Polaków ciężkich,—chwilach znaczących ogromnym wysiłkiem dnia codziennego, poświęconego odbudowie naszej Siły Zbrojnej,—wybitny Polski przyjaciel, brat Króla Jerzego zamani-

którą Anglja napróżno usiłowała ratować, proponując wspólny rząd, proponując nie mniej, ani więcej, lecz UNJĘ myśmy w tem fatalnem znaleźli się położeniu, że broniąc znowu z nakazu honoru odwrotu wojsk francuskich, nie mogliśmy znaleźć się na Wyspach w tej samej, co i we Francji sile. Stopnieliśmy i to dość znacznie,—ale zyskaliśmy sobie sławę sprzymierzeńca, który w żadnej nie zawodzi potrzebie.

Nie trzeba się rozwodzić nad pracami odbudowy Armji Polskiej w Anglii. Znamy je wszyscy z własnej codzien-

Tak wielkie plany, jak organizacja Europy i świata, muszą wywoływać i u przeciwników myśli o innej, nowej organizacji. I tu—oczywiście—na pierwsze miejsce wybić się musi chęć wzajemnego zbliżenia się sił współdziałających.

—A któż dzisiaj obok Wielkiej Brytanji niezmiennie walczy w imię wspólnych idealów i wiernie przestrzega wspólnych umów?—Czy jest drugi tak potężny partner, jak Polska?

Otóż tak potężnego partnera, jak my, Wielka Brytanja nie ma.

Potężnego dlatego, że nie znalazł się w Polsce ani jeden Hacha, a każdy nowy moment walki Żołnierza Polskiego na obczyźnie cały Naród Polski popiera z niespotykaną dotąd w historii siłą, oplacając to poparcie tysiącami najcięższych ofiar życia.

I to wie cały świat!

A stąd interesuje się nami,—żołnierzami,—którym mandat walki podpisał cały bez wyjątku Naród.

—Jakże my wyglądamy w oczach Dostojnego Gościa Królewskiego?

Odpowiedź na to pytanie Czytelnicy znajdą w zamieszczonym na 1-szej stronie niniejszego numeru "Czaty" autografie ks. Kentu.

"Chciałbym powiedzieć Wam, że jestem pod silnem wrażeniem Waszej dziarskiej postawy i sprawności."

Jest to pochwała, która zobowiązuje na przyszłość.

Bo w chwili, kiedy waga się losy świata i naszej Ojczyzny mieć taką ocenę dotychczasowych wysiłków jest rzeczą wielką i osiągnięciem, które bodźcem być powinno na przyszłość,—bodźcem, dodanym każdemu żołnierzowi 1-szej Brygady, gdyż od każdego żołnierza zależy w większym, lub mniejszym stopniu dalsze liczenie się Wielkiej Brytanji z wiernym sojusznikiem, jaką Rzeczpospolita Polska jest bez wątpienia.

Wizyta bowiem brata króla Jerzego—to dowód, iż Wielka Brytanja traktuje swój związek z Polską nie na płaszczyźnie teraźniejszości, ale że związek ten uważa za dostatecznie trwałe, by ostał się na daleką przyszłość.

To trzeba wiedzieć i dlatego tembardziej się cieszyć i tembardziej podcigać własną "dziarską postawę," że oceniona ona została nie tylko przez członka Domu Panującego Wielkiej Brytanji, lecz, że taką ocenę wyraził właśnie książę Kentu znany przyjaciel Polski i Sprawy Polskiej rzecznik.

Ks. Kentu przed Kompanją Honorową



festował swoją dla nas życzliwość chociażby tem, że się interesuje Wojskiem Polskiem.

Rozważmy to zwolna i szczegółowo!

Jesteśmy Narodem, który pokazał światu, że chce i umie żyć z honorem,—a nawet, jeżeli życie narzuca Mu nierówną walkę, w której ulec musi,—wybiera walkę, bo tak każe Honor Narodu i Państwa. Więzy głębokiej przyjaźni, wzmocnionej sojuszem polsko-brytyjskim łączą nas dawno,—sojusz zaś był tylko ujęciem w ramy umowy międzynarodowej woli wszystkich bez wyjątku Polaków.—Czy tak samo sprawa przedstawiała się z drugiej strony?—Powiedzmy otwarcie, że nie. Bo myśmy więcej o Anglii wiedzieli, niż Anglicy o Polsce, bo myśmy wiedzieli, że wspólne nam są ideały wolności i sprawiedliwości, ideały honoru i męstwa. Anglicy zaś nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tych cnót polskich, znając nas jedynie z niezbyt dostępnej literatury.

I kiedy nastąpiła katastrofa Francji,

ności obozowej i wiemy, jak była trudna. A jednak została zakończona z rezultatem pomyślnym i w czasie dość szybkim.

—I cóż się okazało?

Oto lotnicy polscy w ciągu tygodnia stracają około setki niemieckich samolotów, oto "rozbici" we Francji Polacy, "zdemoralizowani" dwukrotnie niepowodzeniami, zdolali przeorganizować się na nowo i szybko wrócić "do formy" Nie uznać tego nie można! Jest to bowiem fakt, który możemy udowodnić w każdej chwili.

W tym samym czasie państwa rabusiów rozsądzać zaczyna własna zachłanność.

I ze wszystkich stron słyszymy, że Europę trzeba na nowo zorganizować. O organizacji całej Europy,—a ściślej mówiąc całego świata—myśli Hiller, który w obecnej formie nie może już utrzymać władzy, wypadającej mu z rąk siłą konieczności posyłania coraz większych garnizonów do Polski, Norwegji, Czech.

PIERWSZA BRYGADA GOŚCI KSIĘCIA KENTU

/Korab/ Lało tego dnia, jak na złość, od samego rana. I wiatr wiał jakiś nieprzyjemny - przejmujący. Nie przeszkodziło to jednak, że punktualnie o godzinie 9-tej rano cała "ekipa prasowa," złożona z ludzi pióra, fotografów i rysownika /i to jakiego rysownika—sam mistrz Walentynowicz! / wyruszyła dla rozejrzenia się w terenie, na który w godzinę potem przyjechać miał ks. Kentu. "Ekipie" prasowej należy się słów kilka, należy się dlatego, że poraz pierwszy poza dziennikarzami i fotografami angielskimi,—wystąpiła własna ekipa 1-szej Brygady,—zupełnie zresztą po prasowemu, przygotowana nie tylko do notowania kolejności zdarzeń, ale zupełnie fachowo wyposażona zarówno w aparaty fotograficzne, jak i w rozstawionych reporterów. Jest to sukces całej Brygady,—zdobyła się bowiem na szybkie i sprawne uruchomienie 2 stałych wydawnictw: "Czaty" i "Nowin," docierających do każdego żołnierza Brygady.

Jak zawsze,—tak i tym razem zaczęło się od "przymierzania" miejsca dla fotografa, który miał wystąpić na pierwszy ogień—powitanie.

— Gdzie go postawię, do licha! — kłął "szef ekipy prasowej." — Tu źle i tam niedobrze!

Wreszcie wyszukał miejsce—dał go pomiędzy orkiestrę i kompanję honorową, która oczekiwała już przyjazdu Dostojnego Gościa na szosie.

O godz. 10-tej ks. Kentu zajechał na skrzyżowanie dróg. Orkiestra odegrała angielski hymn państwowy.

Z samochodu wysiadł ks. Kentu—miła sercu każdego Polaka postać, gorący zwolennik Sprawy Polskiej. Wysoka, szczupła, "angielska" sylwetka o miłym, naturalnym uśmiechu, rozjaśniającym bez tego jasną—dzięki jasnemu kolorowi głębokich oczu—twarz.

Królewski Gość 1-szej Brygady powitany został przez Dowódcę Okręgu Wojskowego W. P. gen. Marjana Kukiela, oraz Dowódcę 1-szej Brygady gen. Paszkiewicza. Ponadto ks. Kentu towarzyszyli podczas Jego wizyty wśród nas gen. gen. Regulski i Kossakowski, oraz cały szereg wyższych oficerów polskich z Dowództwa Okręgu Wojskowego i 1-szej Brygady.

Z angielskich gości w świcie ks. Kentu znaleźli się: lord Hamilton of Dalzell, gen. Witts, mjr. Sutton, mjr. Winsall, oraz kpt. Lloyd Johnes.

Żółci "jazłowczycy" wzorowo sprezentowali broń, uśmiech ks. Kentu rozszerzył się wraz z oczami, kiedy przechodził przed "murowanym" frontem kompanji honorowej. Apotem chwila rozmowy, aby dać czas orkiestrze i kompanji ustawić się do defilady przed Królewskim Gościem.

W tym czasie dopadłem do "szefa prasy," który stał

właśnie na uboczu, dyskretnie spoglądając przez ramię mistrza Walentynowicza do jego notatnika.

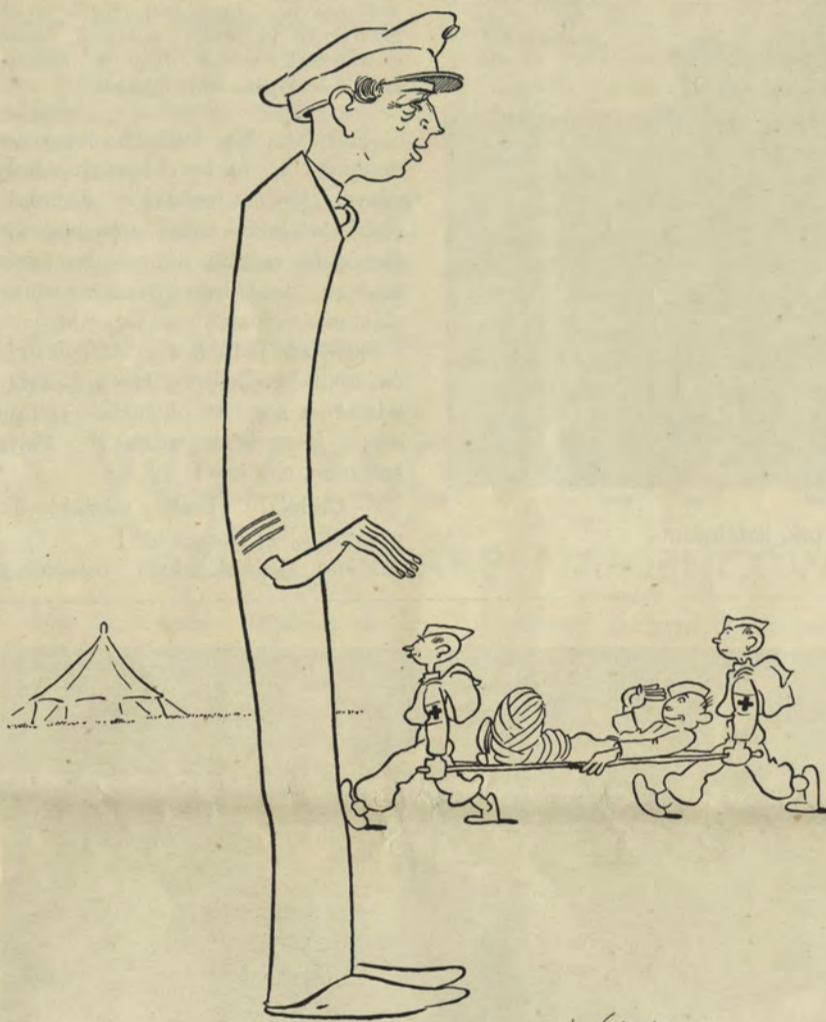
— Złapał mistrz wyraz twarzy?
— Złapałem.

Spojrzałem i sam na kartkę notatnika, osłoniętego peleryną /deszcz padał—rysować było bardzo trudno/.

spojrzenie wachmistrza Walentynowicza, skierowane na "szefa prasy"—zwykłego strzelca, nienoszącego "tasiemek" cenzusowskich, — poczem redaktor zaczął:

— Mistrzu. . . .
— To są notatki.

Ale mistrz przerwał natychmiast:



"Defilada" Izby Chorych przed Ks. Kentu

Zdumienie moje nie miało granic! Na kartce zobaczyłem jakieś niezrozumiałe kreski, niemające absolutnie nic wspólnego nie tylko z ks. Kentu, ale z żadną istotą ludzką. Widocznie nasz "szef" miał te same wątpliwości, bo posłyszałem zapytanie, zbolałym zadane głosem:

— Co to jest?

Nastąpiła długa pauza, pobłażliwe

— Notatki?—zgroza brzmiała w tym głosie.

Nie dogadali się jednak, bo oto orkiestra grała już na całego, a tuż za nią kompanja honorowa przybijala, aż iskry szły. Fotograf nie próżnował,—robił zdjęcie za zdjęciem.

Po przemarszu kompanji honorowej ks. Kentu wszedł do obozu artylerji.

Artylerzyści nasi — jak fama brygadowa głosi—wywodzą się od ogrodników, bo oto w pierwszych dniach, kiedy nibyto wojskowi, a niby cywile siedzieli w tych namiotach, a o broni ani słuchu nie było,—zabawiali się sadzeniem ogródków, żeby to jakoś "przyzrebisko" wyglądało—jak sami mawiali. Zdziwili nas jednak niejednym. I szybkością wykonywania komend podczas normalnych zajęć,—bo ks. Kentu przyglądał się normalnym, codziennym zajęciom szkoleniowym,—i natychmiastową orientacją. A chociaż ludzie złośliwi powiadają, że w tym dniu wszyscy gorzej wyszkoleni poszli na wartę,—nie wierzę temu stanowczo, bo przecież warta jest zaszczytną służbą,—honorową—i pełnić ją może w sposób właściwy tylko dobrze wyszkolony żołnierz.

— A pan po jaką cholere wyskakujesz przed gości?—syknął "szef prasy," a przyznając się, że mnie zdetonował co się zowie.—Obiecałem—tłumaczył, że mi żaden fotograf, ani reporter nie będzie wyskakiwał, żeby swój /tak tu powiedział, że papier zapłoniwszy się ze wstydu nie przyjął brzydkiego słowa /..... fason pokazywać!

I chociaż—jak Boga kocham—starszy od niego rangą jestem—języka w gębie zapomniałem. Mruknąłem tylko "tak jest," ale nie mogłem przecież dodać "panie strzelcze,"—no nieprawda?

Ks. Kentu przyglądał się wszystkim pokazanym ćwiczeniom z zainteresowaniem, pytając towarzyszących mu generałów o szczegóły i prosząc o wyjaśnienia. Poważniał wówczas, kiedy Mu ich udzielali, aby za chwilę znowu nadać całej swojej postaci wdzięk przemilego, prostego, naturalnego uśmiechu. I szedł dalej, gdzie ćwiczone postawy strzeleckie we wszystkich odmianach, gdzie ładowano i rozładowywano "kb," gdzie przy armacie jakieś cuda wyprawiano, które tylko artylerzyści dokładnie rozumieją, albo rozumieć powinni.

Przed Izbą Chorych zdarzył się wypadek. Jakiś biedak złamał sobie nogę i "łapiduchy" bandażowali właśnie potężną warstwę gipsu. Dziwne, że akurat na przyjazd

Księcia i tuż przed Izbą Chorych. . . . Niech to jednak tajemnicą zostanie, —fakt, że gips był i bandaże też.

Artylerzyści jednak mają w wielu wypadkach inne zdanie od "zajęcy." Im oddajemy głos, aby odebrać go w dalszym ciągu reportażu z pobytu ks. Kentu w Brygadzie.

(Dok. na str. 4.



fol. Konwiński

Ks. Kentu przygląda się ćwiczeniom
Od prawej widzimy m. inn.: gen. gen. Kukiela, Regulskiego i Paszkiewicza

PIERWSZA BRYGADA GOŚCI KSIĘCIA KENTU

(Dokończenie ze str. 3)

[Deka] Szczerze powiedziawszy — lokatorzy namiotów obozu artyleryjskiego są nieco zblazowani, jeśli idzie o gości i wizyty. Wszak obóz ten, ze względu na położenie i urządzenie uważany jest —

obozu, odwiedzając poszczególne pododdziały, interesując się pracą i ćwiczeniami poszczególnych grup. Pierwsza bateria — szczególnie czuła na swój nietylko "liczbowy" ale i rzeczywisty "prymat" i

chce traktować swój związek sojusznicy z Polską nietylko pod kątem doraźnego celu powalenia wspólnego wroga — ale że widzi konieczność utrzymania tego związku jako nieodzownego czynnika trwałej odbudowy porządku europejskiego.

Podpis, położony przez Księcia Kentu w naszej "Złotej Księdze," będzie dla Dal-u i następców tej formacji w Polsce wspomnieniem uroczystej chwili — a dla przyszłego historyka oznaczać będzie niewątpliwie ważną datę w rozwoju stosunków polsko — brytyjskich.

[Korab] Na kursach samochodowych i motocyklowych były również zajęcia normalne. Składali, rozkładali jakieś części samochodowe. Robią to zresztą dobrze, bo przez miesiąc dokładnie poznali samochodowo-motocyklowe tajemnice.

Szczytem jednak wszystkiego były ćwiczenia bojowe, w których brały udział — a kogo to obchodzi — pytam się: kto brał udział? Piątą kolumnę, czy jak?

— Oddziały brały udział! — To wszystko! — I deszcz też!

Mimo jednak tego ostatniego

uczestnika ćwiczeń bojowych, — na wzgórzach, porośniętych wrzosem uganiały samochody i armatki, działka "ppanc" i wszelkie inne wymyślne sztuki inżynierów i t.zw. przemysłu wojennego. A Książę Kentu chodził niezmordowanie, — wdzwając na skromny mundur lotniczy najwzyczajniejszy granatowy płaszcz impregnowany. I zawsze jaśniał uśmiechem.

Ćwiczenia zakńczyły się egulaminowo! Całkiem punktualnie, — wiadomo bowiem, że punktualność jest obowiązkiem podwładnych i grzecznością królów. To też pognaliśmy dość ostro "prasowym" samochodem do Dowództwa, gdzie gen. Paszkiewicz podjął Królewskiego Gościa żołnierskim śniadaniem, podczas którego wznosił toasty na cześć JKMości króla Jerzego VI, Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, a następnie wygłosił następujący toast na cześć ks. Kentu:

"Wasza Królewska Wysokość! Dumny jestem, że w imieniu dowódców i żołnierzy przypadł mi zaszczyt podejmować skromnym śniadaniem żołnierskim Waszą Królewską Wysokość i serdecznie powitać, jako bardzo miłego Gościa 1-szej Brygady Strzeleców."

Przy czarnej kawie znowu wystąpiła prasa. Tym razem jednak natarcie przeprowadzone zostało przy siłach wzmocnionych niespodziewanym przybyciem posiłków w osobie popularnego w Brygadzie kaprała prasowego. I tu akcja została uwieńczona pełnym zwycięstwem, bo wespół z "szefem prasy" zdobyli od Księcia Kentu autograf dla "Czaty." (Zamieszczamy autograf JKrólewskiej Wysokości ks. Kentu na stronie 1-szej — przyp. Redakcji.)

I natarcie uwieńczone zostało sukcesem.

Dziwne to jednak było natarcie, — bo oto nacierający też zostali zdobyci, jak cała Brygada, — urokiem Królewskiego Gościa, którego wizytę wśród nas zawsze będziemy uważali za dzień radosny i pamiętny.

Było to 27-go września!



fot. Prytyś

Ks. Kentu wita się z płk. Izdebskim

śluszenie, — za obóz wzorowy, a co z tym w parze idzie — za obóz pokazowy. Toteż na brak zapowiedzianych i niezapowiedzianych odwiedzin uskarżać się nie możemy — i pobyt dostojników pomiędzy naszymi "wigwami" nie wywołuje dreszczyku sensacji. Jednym słowem — trzeba "silniejszej dawki," aby czyjś przyjazd spowodował prawdziwe i szczerze poruszenie — w szeregach DAL-u — oczywiście tylko wówczas, kiedy szeregi te stoją na "spocznij" — bo na "baczność" — nie wyrównanej i pokrytej kolumny artyleryjskiej nie ma mocy poruszyć.

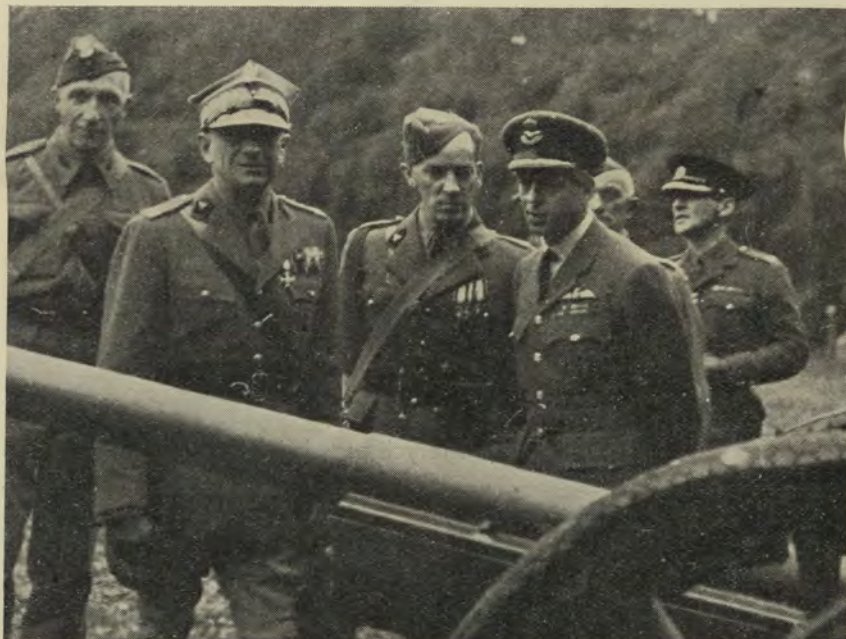
Nawet zapowiedź przybycia Księcia Kentu, przyjęta z prawdziwą zresztą radością i powszechnym zainteresowaniem, podana w przeddzień przyjazdu brata króla Jerzego, — nie rzuciła nas do pośpiesznego, przysłowiowego "porządkowania rejonów" na pokaz. Porządek był — i to taki jaki mamy codziennie.

Wszystko dopisało — za wyjątkiem pogody. Szkocka pogoda, która dotychczas była dla nas względnie łaskawa: podział "fifty-fifty" na deszcz i słońce przeprowadzony był tak, że zazwyczaj w noc lało, a w dzień było jako-tako. Wszystkie uroczystości, jak dotąd nie były wyjątkiem od tej reguły, a nawet opromienione prawdziwym słońcem, — co szczególnie przyczyniło się do całości nastroju w czasie wizyty Prezydenta Rzplitej i Naczelnego Wodza. Niestety tym razem lało.

Baterie podczas wizyty ks. Kentu oddawały się normalnym zajęciom: szoferzy zagłębiali się w tajniki "mamki" i innych rozpylaczy, w oddziałach były działaczyny, musztra pieszka, zwiad miał swoje ćwiczenia, a nawet oddział sanitarny eksperymentował na nodze "kanoniera doświadczalnego" prawidłowy system opatrywania.

"Extra muros" ustawiła się orkiestra i kompanja honorowa: Dźwięki hymnu angielskiego "God save the King" i okrzyk: "Czołem Wasza Królewska Wysokość" — były sygnałem, że Dostojny Gość jest w pobliżu naszych wrót. Po chwili książę, "dobry nasz znajomy" z ilustracji i tygodników filmowych — stanął przed naszą wartownią — przyjmując meldunek od płk. Łakińskiego i ppłk. dypl. Izdebskiego.

Następnie Książę Kentu udał się do



fot. Konwiński

Wizyta u artylerzystów

tym razem miała szczęście, bo ćwiczenia przy działach i prace zwiadu najbardziej przykuły uwagę Gościa Królewskiego. Chociaż program wizyty ograniczał czas — Książę znalazł go jednak, by zaglądnąć do poszczególnych namiotów wpaść do świetlicy — a nawet dekoracje przed namiotami, duma naszego obozu, wywołujące tu i ówdzie złośliwe docinki podyktowane zwykłą zazdrością "żołnierskich klas nieposiadających" — były przedmiotem komentarzy Księcia.

Fakt, że Książę Kentu odwiedził oddziały polskie i zainteresował się pracą naszego żołnierza, ma swą głęboką wymowę i jest dowodem, że Wielka Brytania przywiązuje zasadniczą wagę do naszej Siły Zbrojnej — która kontynuując wysiłki zbrojny jest najbardziej istotnym elementem zachowania sojuszu między Rzplitą i Wielką Brytanią. Nie chcę tu powtarzać oklepanych zwrotów o "niezartem wrażeniu" — ale trzeba stwierdzić, że w pobytku brata Króla Jerzego żołnierz polski widzi dowód, iż Wielka Brytania



fot. Konwiński

Na placu ćwiczeń

JANUSZ LASKOWSKI

RUSZAMY NA ZAGROŻONĄ POZYCJĘ

Nieco dalej — w tym samym numerze "Czaty" — omawiamy ciekawą korespondencję: listy od Polaków z Ameryki do nas-żołnierzy. Lektura tych listów nasuwa cały szereg uwag, — niektóre nawet mogą być negatywne. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że wszyscy zgodzimy się na jedno. Oto Polonia amerykańska podkreśla niemal we wszystkich listach naszą rolę, nasze wyczyny żołnierskie, nasze zdobycze i osiągnięcia. I tego od nas chce i czeka!

Rzecz prosta, że zawsze i wszędzie tak się dzieje, iż społeczeństwa wymagają od żołnierza zwycięstw, przejawów męstwa, słowem wszystkiego tego, co zwykliśmy nazywać cnotami żołnierskimi, które będą tworzyły kiedyś legendę, — a na niej całe pokolenia będą się wychowywały.

Jeżeli jednak społeczeństwo tak dobrą i bezstronną mające informacje, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki takie nam wymagania stawia, coż dopiero mówić o tych Polakach, do których dociera tylko preparowana do specjalnego użytku wieść o zdarzeniach na świecie. Obchodzą nas Polacy, — więc o nich tylko będziemy mówili w dalszym ciągu artykułu. Jakie wymagania stawia nam Kraj, skazany na życie jedynie tęsknotą i marzeniem, pozbawiony niejednokrotnie przez długie miesiące wiadomości prawdziwych? Z pewnością wymagania te są większe, — z pewnością dotyczą nie tylko czynów wojennych, nie tylko bohaterstwa, ale i wytworzenia tak potężnej atmosfery patriotycznej, tak przemyślanej w najdrobniejszych szczegółach myśli o przyszłości, — aby już w pierwszej chwili stanięcia na wolnej Ziemi Ojczyściej, Armja nasza przekształcić się mogła w dokładnie uświadomionego obywatela, który walczyć będzie w dalszym ciągu, jeżeli będzie tego potrzeba /a napewno będzie! — przyp. autora/, — świadom jednak będzie zarazem całego ogromu zadań i zagadnień, jakie staną przed całym Narodem.

Jest kilka prawd, z których nie wszyscy zdają sobie sprawę, lub co gorsze: nie chcą zdawać sprawy. Pierwszą z nich i najważniejszą jest fakt całkowitego zniszczenia Kraju. Tu pracę trzeba będzie zaczynać od początku, — budować od fundamentów. A jeżeli od początku cokolwiek tworzyć zaczynamy, musimy wszystkie wysiłki zmobilizować.

Dotychczas tak się działo, że energia narodowa często szła na marne, rozbita na mnóstwo zmagają nieistotnych. Z tem trzeba skończyć tak, jak Kraj już skończył.

Kraj inne wymagania stawia, innemi kieruje się dążeniami. Kraj tworzy podwaliny moralne i podwaliny charakteru, na których oprze się od pierwszej chwili wolności cała robota odbudowy. A w tej odbudowie i nasz udział będzie musiał się przejawiać nie tylko wysiłkiem

mocnych rąk, ale i wysiłkiem przemyślanych zagadnień, tryskających codziennie z wstrząsanego przemianami globu ziemskiego.

Jedno zaś z tych zagadnień staje w nagiej, bolesnej prawdzie przed nami już teraz. Jeżeli bowiem nawet taki wstrząs, jak zeszlóroczny "Wrzesień" nie zbudził wielu śpiących, którzy dzisiaj jeszcze idą beztroską ścieżką sobiepaństwa, — jeżeli ogrom codziennych tragedij Kraju nie zbudził sumień, — zbudzić je musi żołnierz, jako Narodu obrońca, zbudzić je musi potę, by potem nie lało się niepotrzebnie morze krwi!

Zbudzić je musi Wizją nową, Potężną Polską, która znajdzie rozwiązanie wszystkich problemów od ustroju gospodarczego począwszy,

kończąc na ułożeniu współżycia z sąsiadami Rzeczypospolitej.

Dlatego nam w udziale przypadnie najpierw w formie dyskusyj, a potem w formie ustalonych wniosków zdobywać nowe prawdy o Polsce i dla Polski, aby po powrocie do Kraju móc stwierdzić, że nie zmarnowaliśmy czasu, wyzyskanego nie tylko na reprezentowanie woli walki naszego Narodu, lecz również na wytworzenie nierozdzielnej z Narodem spójni, polegającej na przejściu zrodzonej Tam — w Polsce w gęstej zasłonie konspiracji — IDEOLOGJI, wspólnej nam wszystkim tak samo, jak wspólną nam wszystkim jest wola zwycięstwa.

"Czata" zaprasza nie tylko do korespondencji z obozów, — zaprasza również do współpracy i dyskusyj na tematy najistotniejsze. Jest to potrzebne chociażby dlatego, że

przez długi czas pierwszego okresu naszego pobytu w obozach, przygnębieni załamaniem się Francji, — zagryzaliśmy się wszyscy tragedją współczesnej emigracji polskiej, — tragedją bezideowości. Dzisiaj stwierdzamy, że na "uciekierów" nie będziemy liczyli, a nawet odwrotnie: — podejmujemy sami jeszcze jeden obowiązek, aby po powrocie do Kraju nie ciążył na nas okropny zarzut "pobytu na wilegaturze" wtedy, kiedy dom płonął.

Żądają od nas Rodacy z Ameryki bohaterstwa. Pokazujemy je, jako Armja, przemawiająca dzisiaj wyłącznie niemal w powietrzu. Kraj jednak zawsze większe ma wymagania i zdecydowanie żąda głębokiego przeżycia problemów Przyszłej Polski, tak głębokiego, jak przeżył je sam Kraj.

I nie zawiedzie się!

MAREK ŚWIĘCICKI

WSZYSCY DO SZEREGU ZŁÓŻ OFIARĘ NA JEŃCÓW POLSKICH!

Było to w końcu września ub. r. Przez jedno z małych miasteczek wschodnich bolszewicy pędzili kilkotysięczną rzeszę jeńców polskich. Na chodnikach stał spory tłum cy-

A później przyszły dni o wiele cięższe. Widziało się tych żołnierzy, padających na bruk z osłabienia, — z głodu. Z za drutów kolczastych dochodziły wieści potworne: jeńców

jeńców polskich tygodnie, miesiące.

Od przeszło roku trwa konanie dziesiątków tysięcy polskich żołnierzy od Renu, aż po brzegi Oceanu Lodowatego. Zmęczone, zaszklone tęsknotą i bólem oczy obracają się raz poraz na Zachód, skąd ma przyjść wyzwolenie, — serca bowiem tą samą biją wiarą, co i przed rokiem, i wieść nieustannie krąży:

— Już idą, już są blisko!

Nie przyszliśmy!

Pierwsze kwiaty wiosny, winnice nad Renem, upojne zapachy bżów nad Wisłą — mech, nieśmiało wychylający się na bezkresnych obszarach Sybiru — nową wniosły nadzieję. . .

Zbliża się druga z kolei zima.

— Ilu z nich ją przetrzyma? Przecież tam — za drutami — śmierć jest gościem codziennym i codzien pokazuje zbiera żniwo.

Są to bracia nasi — Polacy, koledzy nasi — tak samo, jak my — żołnierze!

Pomyśl o nich, zapalając papierosa, — pomyśl, że nie tylko nie mają co palić, ale nie mają co jeść, ani w co okryć się przed dotkliwym zimnem.

Wiedz, że śpią na gołych deskach, lub nawet na gołej ziemi, — bez słomy, bez przykrycia, w nieopalonych, skleconych na oczekaniu barakach.

Wzmocnij w nich nadzieję przetrwania dowodem chociażby najskromniejszej pamięci, składając ofiarę pieniężną. Stać nas na to! Stać stokrotnie!



Ks. Ks. Kapelani wszystkich obozów przyjmują ofiary na rzecz jeńców żołnierzy polskich. Ofiary te następnie będą przelane do Czerwonego Krzyża, który wyśle do obozów jeńców polskich paczki zbiorowe.

Redakcja "Czaty."



Nasi koledzy w niemieckiej niewoli

wilów, wpatrując się w milczeniu w przesuwaną się przed oczami kolumnę. Mało kto rozumiał wówczas co się właściwie dzieje, — na progu jakich znaleźliśmy się przemian, — co robią czerwoni "goście" i jakim prawem biorą do niewoli naszych żołnierzy? — Przecież wojna jest z Niemcami. . .

W pewnej chwili, gdy kolumna skręcając na rogu, zbliżyła się do chodnika, ktoś, z cywilów rzucił w nią kilka papierosów.

— Dziękujemy! — rozległo się z szeregów żołnierzy.

— A może jeszcze ktoś ma?

— Od kilku dni nie paliliśmy.

naszych karmiono jakąś stęchlą zupą raz na dobę, czasem raz na dwa dni, a nierzadko i na trzy. . . Ciepłe solidne mundury ustąpiły miejscach manom, — w których na mrozie i wietrze jeńcy pracowali ponad siły.

Z niemieckich obozów napływały jeszcze gorsze nowiny. Tam usiłowano zabić nie tylko ciała, ale i ducha, tłumacząc wytrwale, że ich — Żołnierzy Polskich — sprawa jest nieuchronnie skazana na klęskę i że bramy wielkiego więzienia, jakim jest Rzesza hitlerowska, nie otworzą się przed nimi już nigdy.

I tak płyną za drutami obozów

PRZED NAMI LEŻĄ LISTY Z AMERYKI . . .

/m.sw./ Różne są te listy: jedno pisane doskonałą, literacką niemal polszczyzną, inne—ciężko, zaledwie są zrozumiałe. Tak dalece w nich zniekształcił się nasz język i wykoślawił. Obok gładkich, równych literek,—słowa, kreślone twardo i niezgrabnie ręką niezbyt do pisania nawykłą. Tani, tandetny papier i weliny, lub też zgola piękne blankiety firmowe. Bo też różni ludzie są autorami tych listów: panienki, które dopiero szkoły pokończyły zdążyły, poważni prezesi polskich związków za Oceanem i kilkonastolatki, którzy aż się pałą do Polskiego Wojska,—i inni, inni,—wszyscy jednak—Polacy!

Leży przed nami ta pokaźna sterta listów z tamtej strony "Wielkiej Wody," a każdy aż się naprasza, aby go tak, jak jest w całości i bez skrótów podać na łamy pisma. Każde słowo warte jest druku,—ba!—ksiąg pamiątkowych. Taka stamtąd gorąca miłość Ojczyzny tryska, taka troska głęboka o Jej losy, i wiara w nas—żołnierzy i taka pewność w zwycięstwo!

Niestety warunki nasze nie pozwalają na druk grubych broszur, więc tylko część—drobny ułamek tego, co pisze Polonia amerykańska możemy zamieścić. Ale to też jest wyraźne i pozwoli nam na zrozumienie dzisiejszych nastrojów Polaków w Ameryce.

Pewna nauczycielka w liście jeszcze z przed katastrofy francuskiej pisze o nastrojach społeczeństwa amerykańskiego:

"Z każdym dniem więcej jest głośniejszej agitacji na rzecz pomocy Aljantom. Kilku-dziesięciu profesorów uniwersytetu zaapelowało onegdaj do Prezydenta o pomoc w pieniądzech i sprzęcie, a w New Yorku mówią nawet o wojsku naszym na pomoc Aljantów."

"Weteran" z poprzedniej wojny światowej opowiada, że dużą część tej głośniejszej agitacji i naszej zasłudze przypisać można:

"Malinarka polska bardzo dobre pokazania zrobiła z wrogiem i cieżko zapłaciła za jakie szkodziła okrentom Polsce! Dużo ludzie się dziwią, że takie pokarzenie maliniarskie zrobili."

/Zachowujemy pisownię oryginalną listów—przypisek Redakcji/

Naturalnie, że się dziwią! Nie-współmiernie mała ilościowo marynarka polska odnosi sukcesy, jakichby się olbrzymy morskie nie powstydziły. To też, jako coś zupełnie naturalnego przyjmujemy entuzjastyczny dla Polskich Wojsk list prezesa jednego z klubów "Oświaty przyjaciół Polski":

"Jesteśmy dumni z Was na tej obcej ziemi, ale ziemi przyjacielskiej. My wszyscy na ziemi amerykańskiej jesteśmy przy boku Waszym."

Do listu dołączony jest pelen wiary wiersz pod tytułem "Jeszcze Polska nie zginęła."

Ale nie tylko w słowach porzestają nasi rodacy amerykańscy. Oni sami chcą służyć w tej sławnej dziś na całym świecie Armji. Oto inny list:

"Gdy tylko będzie jakaś możliwość wyjazdu do Francji czy do Kanady, ucieknę i bodaj obierać kartofle w kuchni wojskowej—to będę obierać, byleby nareszcie spełnić obowiązek. . ."

"Wiara żołnierską proszę zapewnić, że Polonia w Ameryce uwielbia ją za jej poświęcenie dla Ojczyzny, za trudy i znoje, za jej wolę niezłomną" . . .

Tylko, że te trudności w przedostaniu się do wojska są bardzo duże. Organizacje, którym nasz prezes—autor cytanego powyżej listu—przewodniczy, nie chcą mu udzielić dymisji, ba! nawet rodzony syn protestuje:

"Tatusi chce nam koniecznie drapnąć do Armji Polskiej, jakby tu miał zamalo roboty w Lidze Morskiej, przy tem jak to będzie wyglądać: zwykły szeregowiec z

białymi włosami? Ale Tatusiowi tego nie mogę przetłumaczyć, chce jechać i koniec. Jabym go chętnie zastąpił" . . .

Co za kłopot! Ojciec za stary, syn zaś ma dopiero 12 lat. I obaj aż się rwą na wojenkę!

Albo co poradzić, co pomóc tej młodej dwudziestoletniej Polce, która ogromnie tęskni za Krajem, pomimo, że urodziła się w Ameryce i tylko krótko była w Polsce: ". . . tak mi jest okropnie żal za Polską i ja nawet nie mam z kim po polsku i o Polsce mówić. A ja tak lubię po polsku mówić—tak dobrze czułam się w

Polsce,—jeszcze teraz wspominam te przyjemne chwile" . . .

Już może łatwiej jest znaleźć radę dla innej naszej rodaczki, która też się rwie do Europy:

"Widziałam w kinie Polską, powstałą z prochu Armje,—słyszałam ich śpiew i roześmiane twarze naszych kochanych żołnierzy. . . Chciałam wyjechać do Francji na ochotniczkę, robiłam ztaramia, ale daremnie były, bo jestem amerykanką. Chciałam iść zemścić się na szwabach i moskalu za mojego ojca i brata i też matkę, którzy zginęli w ostatniej wojnie" . . .

Czterdziestoletnia Polka pyta o nasze warunki bytu, bo oni tam troszczą się o nas i martwią:

"My Polacy przykażdy okazji dajemy co tylko kto może a żeby wam pomóc jakim sposobem żeby my sie mogli podzielić z wami z wielkim bułem serca dowiadujemy się o was i chcemy wszystko wiedzieć oraz drodzysz cie są dla nas jak rodne bracia."

Tą samą troską technie list prezeski Związku Polek w jednym z dużych skupisk Polonii amerykańskiej:

"Kolo ratunkowe pań na zew dla Macierzy zorganizowałam, przestały one do Anglii dla was, nasi serdeczni, prezent w postaci ambulansu. Pracujemy tu jak możemy z myślą o Ojczyźnie, o was, bohaterzy, jak i o całym naszym cierpiącym narodzie. Pracować będziemy nadal dla Tej, co żyła, żyje i żyć będzie,—jedną imprezę kończymy, drugą zaczynamy, aby ta nie pracy nigdy nie była przerwana, tak jak wy dla Niej, tak i my Polki musimy swą misję dziejową spełnić."

Któżby mógł przypuszczać, że młoda, kilkunastoletnia panienka wolne swe chwile poświęci pisaniu pełnych nienawiści dla Niemców wierszyków? Przytaczamy jedną ze zwrotek:

"Nim się nasyci banda krzyżacka,
Polskich się kulek natyka,—
Zamiast polskiego placka,
Pochowa ich polska motyka!
Daj Boże!"

Jeszcze bardziej charakterystyczną jest propozycja uczyniona z tamtej strony Oceanu jednemu z naszych oficerów:

"Panie poruczniku, ja mam do wasz jednia prośbia może za każdego niemcica którego zabijesz ja tobie zaplacie jednica dollara a za każdego zabierzesz za jencia to musisz mnie zaplaciesz, czy zgoda?"

Obawiamy się, że ten weteran z 1917—go roku zrobi zły, bardzo zły interes,—dolaru prysną błyskawicznie. Panie Poruczniku—okazja!

Tak! Stanowczo i zdecydowanie plynie stamtąd żądza odwetu i pewność, że chwila decydująca zbliża się z każdym dniem.

"Przyjdzie godzina odwetu, bo krew polska—to jest drogi kamień, co nigdy nie rdzewieje" . . .

To prawda!



M. Alentynian

Guzik odpadł właśnie przed zbiórką!

KŁOPOTY MAGAZYNIERA

[S. Z.]. Godzina 8-ma rano.

W namiocie, który otrzymał szumną nazwę magazynu materiałowego (poza nazwą niczym się nie różni od pozostałych swych braci, ustawionych szeregiem na polu), śpią 3 osoby:—Oficer materiałowy, podoficer i goniec, no i naturalnie znajdują się wszystkie rzeczy nieopbrane przez kompanie—określić to można: "Skład starzyzny," albo wytworniej: "Magazyn konfekcji męskiej" na placu Kercelego w Warszawie.

Personel magazynu, po rannej gimnastyce, zabiera się do mycia. . . Wchodzi major-kwaternistrz: Niech no plutonowy napisze zapotrzebowanie na nowe sorty mundurowe, tylko prędko . . . prędko . . . bo to pilne.—No? jeszcze pan nie pisze?

—Panie majorze, melduję posłusznie, że nie mamy stołu, ani żadnego w tym rodzaju instrumentu, na którym można by pisać.

—Plutonowy jest niezaradny. . . Stół powinien być! Zresztą zapotrzebowanie ma być natychmiast napisane i niema na ten temat żadnych rozmów.

—Rozkaz!

Siada się na posłaniu, na kolana kładzie

się kawałek tekturki, na niej papier i kancelaria uruchomiona.

Zaczynam pisać zapotrzebowanie, gdy wtem. . .

—Plutonowy nie pilnuje powierzonych mu rzeczy—głos i osoba majora—było 6 sedesów, a jest 5. Gdzie sedes?

Dla orientacji nadmieniam, że sedesem nazywamy coś w rodzaju paki podłużnej z czterema otworami i pustym dnem, którą stawia się nad wykopanym dołem.

—Panie majorze, melduję posłusznie, że przed kwadransem były wszystkie.

—A teraz jest pięć—niech to plutonowy załatwi, sedes być musi.

—Rozkaz!

Wychodzę, patrzę—rzeczywiście nie ma, stoi ich tylko pięć—osieroconych i w dodatku nikt z nich nie korzysta. Co to może być? Kto "zafasował" sedes?

. . . Rozglądam się na wszystkie strony, zaglądam w krzak, nad rzeczkę—niema! Sedes przepadł jak kamień w wodzie. Wracam zmartwiony, po drodze wstępując do namiotu oficera gospodarczego gdzie pracuje jeden z moich kolegów—nie wyszkolony strzelec z cenz., z cywila urzędnik Banku Polskiego w Warszawie, żeby się z nim podzielić tem nieszczęściem.

Wchodzę do namiotu i zamieniam się w słup soli. Na środku namiotu stoi mój ukochany i poszukiwany sedes, a za nim, na zaiprowizowanym fotelu, siedzi mój przyjaciel i pisze.

—Czyś ty zwarjował, wołam, zabrałeś klozet na biurko, a mnie major ruga, że nie pilnuję skarbowych rzeczy.

—A co miałem robić? Dziś musi być gotowy wykaz imienny na nowe pobory, które mamy otrzymać. Jeżeli ci nie zależy na dostaniu w sobotę forsę, to proszę bardzo, możesz go sobie zabrać.

Na takie dictum nie miałem odpowiedzi Wyszedłem, przysięgając sobie, że jak tylko lista na gaże będzie skończona, sedes ten upiękniejszy nasz namiot magazynowy, tymbardziej, że odegra tu ważniejszą rolę, bo nie tylko posłuży jako biurko, lecz i jako kontuar i skład magazynowy. (Przysięgi dotrzymałem—stoi teraz pięknie, na honorowym miejscu, na nim poukładane bluzy i spodnie, wewnątrz ręczniki, pelerynki i materiał naprawkowy szewski.—przyp. autora.)

Po skonstatowaniu, że "własność skarbową" nie zginęła, wracam do namiotu i zabieram się do pisania zapotrzebowania na mundury. Kiedy już jestem w połowie pracy wchodzi znów major.—Nadmienić muszę, że wizyty majora powtarzają się dość często.—Więc wchodzi major i powiada, że zapotrzebowania już nie trzeba, gdyż przyszedł rozdzielnik z Kwatern-

II

NIE! MY NIE RZUCIMY BRONI!

Wiadomość o rozbrojeniu Armji Polskiej w kampanji wrzesniowej doszła do nas w dniu 20-ym września ub. r. Staliśmy wówczas kwaterą w pobliżu Kamienia Koszyrskiego we wsi Kletyek na Polesiu.

Późno po południu otrzymałem od płk. Paszkiewicza rozkaz natychmiastowego przygotowania się do wyjazdu na odprawę do Sztabu D.O.K. Zapuściłem motor, poczem w szybkim tempie ruszyliśmy piaszczystym szlakiem, wykorzystując boczne ścieżki wzdłuż krzaków i zarośli. Ileż to razy leżeliśmy w piasku!

Drogą ciągnęły szeregi furmanek z uciekinierami, bezładne grupy pieszych żołnierzy bez broni, a od czasu do czasu do uszu dolatywały echa wystrzałów karabinowych. Minęliśmy ostatni, gęsty zagajnik,—kilka wiejskich chałup i wjechaaliśmy na przedmieścia Kamienia Koszyrskiego. Oczom naszym ukazał się tam beznadziejny, przerażający widok — ulice zapechane wszelkiego rodzaju pojazdami i tłumy ludności, które mieszały się z wałęsającym się bez celu wojskiem. Z trudem dobrnęliśmy pod bramę, która wiodła do siedziby D.O.K. Liczni żandarmi pełnili wartę. Zatrzymano nas i wylegitymowano, poczem pułkownik poszedł na tę pilną odprawę.

Rojno było na wielkim dziedzińcu. Oficerowie wyższych rang biegali zdenerwowani z papierami w rękach z miejsca na miejsce, a na skraju dziedzińca leżały stosy wszelkiego rodzaju sortów mundurowych, niezem folwarczne sterty słomy, po których lażyły roje bab i dzieciarni, unosząc w płachtach na plecach tak pieczołowicie przez całe lata konserwowany w magazynach dorobek Mob.

Nieobecność płk. Paszkiewicza trwała stosunkowo krótko.

Zjawił się może po 20-tu minutach,—błady, zdenerwowany i mocno wzburzony.

— Jedźmy czempredzej! — powiedział —

— Co się stało? — zapytałem.

— Jedźmy z tego piekła,—byle prędzej!

Mogą nas w każdej chwili zatrzymać. Będą gonić napewno!

Nie zadając dalszych pytań, ruszyliśmy lawirując w kotłowisku furmanek, aut i ludności. Wreszcie udało się nam wyostać i mknąc, jak tylko ubita ścieżka na to pozwalała, waliliśmy do naszego wojska. Słońce już zachodziło, gdy zatrzymaliśmy

się na skraju lasu przed Kletyckiem.

— Pan wie,—powiedział pułkownik— to było pospolite świństwo! Było zebranie wszystkich dowódców grup wojskowych skoncentrowanych na Polesiu. Przewodniczył generał / nazwiska dziś nie pamiętam—przypisek Autora/, zresztą kilku ich tam było. W zebraniu brał

udział również sowiecki oficer z trzema prostokątami na kołnierzu. Nastąpiło krótkie zagajenie: “Armja Polska przestaje istnieć. Jesteśmy pobici.” Potem zaś wniosek: —“Panowie przy napotkaniu pierwszych oddziałów sowieckich złożyć broń i oddać się pod opiekę czerwonej armji. Otrzymałmy zapewnienie, że włos nam z głowy nie spadnie” . . .

Dalszych słów już nie rozumiałem . . .

Czułem, że coś się we mnie załamało i runęło. Została tylko przeraźliwa pustka —i nic poza nią, jeno świadomość jak wwierca się aż pod nasadę czaszki ból,—fizyczny ból.

— Czyżby koniec? —pomyślałem.

Ciemno już było, kiedy z boków nadbiegły pierwsze zabudowania Kletycka. Kuchnie kończyły właśnie wydawanie strawy,—żołnierze zdążyli do kwater, by spocząć po znojnym dniu. Przed lokalem opustoszałej szkoły, gdzie mieściła się kwatera dowódcy,—niemal wszyscy oficerowie oczekiwali na nowiny, przezuwając chyba tragiczną wiadomość.

Żołnierze zaś, udając się na spoczynek przezuwali rychle trudy, starając się wyczytać w oczach dowódców dalsze decyzje.

— Nie! —nie zapomnę nigdy tego wrażenia, kiedy ujrzałem w żołnierskich oczach straszliwe oczekiwanie odpowiedzi na niezadane pytania nieme, a tak jasne, że czytałem, jak na papierze: “Czy zgnić tu—na Polesiu—mamy, czy też iść dalej, prędzej—do walki?”

W niemych pytaniach szeroko rozwartych ócz mieściła się szlachetna dusza żołnierska, gotowa na największe trudy, gotowa nawet na znacznie więcej—na śmierć!

Tymczasem zaś dokoła dowódcy skupili się w ciasnej izbie szkolnej wszyscy oficerowie. Pułkownik informując nas o wyniku “odprawy” w Kamieniu Koszyrskim w kilku słowach określił sytuację:

“Ojczyzna nasza dogorywa. Na wielkiem Jej ciele sterczą szkielety rozwalonych kamienie, domów świątyni. Wszereż i wzdłuż rozlega się płacz rodzin, pozbawionych dachu,—wyrwanych brutalnie z gniazd,—rzuconych na okropną tulaczkę. Pruska i sowiecka stopa depce już świętą naszą ziemię. Armja Polska nie istnieje. Jesteśmy w tej chwili jedynym żołnierzem polskim w otoczeniu dywersji, nienawiści,—żołnierzem, który jeszcze ma broń.”

Pułkownik wspomniął czasy Kościuszków, Rejtanów,—a przed słuchaczami jak błyskawica przemknęła historia Polski—potop, rozbiory,—na twarzach zatysował się uparty ból.

— Nie,—my broni nie rzucimy!

Okrzyk ten wyrwał się z wszystkich piersi.

— Nie będziemy gnąć w obozach koncentracyjnych odwiecznych wrogów—dodał pułkownik.

I w ten sposób na poleskiem, podmokłem odludziu, w polskiej szkole, w której działa na długo zaprzestać miała uczenia się polskiej mowy,—zapadła decyzja walki do ostatka—do upadłego.

Jakże czule ucałowaliśmy się z dowódcą wszyscy nawzajem. Uścisk ten—to chyba determinacyjne sprzysiężenie:—na śmierć i życie!



Pan szef i strzelec!

mistrzostwa obozów i natychmiast trzeba iść do Głównego magazynu pobrać wszelkie przydzielone nam sorty mundurowe.

Likwidujemy wobec tego kancelarję i biegiem do magazynu głównego, który króluje w trzech dużych namiotach o I i pół klm. od naszego obozu. W magazynie tłok niemiłosierny. Pobierają jednocześnie dwa oddziały. My w kolejce jesteśmy trzeci.—Po kilkogodzinnym oczekiwaniu zaczynamy “fasować.”

— Płaszcz—nr. 3, 4, 5 i 6! Wydaje dyspozycje magazynier.

— Panie kolego! —molestuję—przecież to same małe numery, proszę o większy rozmiar, u nas chłopaki wysokiego wzrostu.

— Niema, wymienicie, jak przyjdzie drugi transport.—Bluzy! nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6 i 12—woła dalej.

— A gdzie 7, 8, 9 i 10—pytam.

— Niema—wymienicie, jak przyjdzie drugi transport.

Identycznie rozmówka powtarza się przy butach, koszulach, kalesonach, czapkach i skarpetkach.

Ładujemy pobrane skarby na auto ciężarowe. Naturalnie nie wszystko się mieści i musimy dwa razy obracać, aby przywieźć sorty do obozu. A ponieważ o pomieszczeniu w namiocie nie ma mowy,—rozkładamy na łące przed namiotem.

— Natychmiast rozdać kompaniom i

dopasować, póki nie ma deszczu—wydaje zarządzenie major.

Cały batalion—naturalnie—jest już na miejscu, nie wyłączając ciężko chorych, którzy muszą leżeć i są zwolnieni od zajęć, jest nawet skromny bukiet koleżków z aresztu.

— Panie plutonowy, niech mi pan dobierze pod kolor—mam dziś randkę i chciałbym wyglądać jak lala.—Naturalnie, że wszyscy chcą wyglądać jak lala i tłok się robi okropny, a człowiek już nie orientuje się co kto do niego mówi.

— Panie poruczniku, pan przymierza 12-tkę a na pana 6-stka będzie akurat.

— Tak, ale 6-ka kolorem nie pasuje do spodni.

— Kolego, zmieńcie mi bluzę, bo w tej naramienniki idą do tyłu, a ja przecież muszę wyglądać! —powiada st. strzelec z cenz., który już umie 40 słówek angielskich, przez co zyskał u nas przydomek “Anglika.”

Wreszcie szefowie pobrali odpowiednią ilość, potrzebną na stany kompanii, z zastrzeżeniem, że jak coś nie będzie pasować, to oddadzą do wymiany.

Odetchnąłem—wreszcie chwila spokoju. . . . Nim jednak o tym pomyślałem już wracają umundurowani do zmiany. Temu materiał się nie podoba, tamtego lewy bucik ciśnie, trzeci ma koszulę o trzy numery za obszerną, a prawie wszystkie, jak na złość żądają numerów, których

magazyn główny nie posiada.

I zaczyna się wielka wędrówka narodów do namiotu magazynu. Trwa stale. Niema pory obiadowej, o zjedzeniu czegośkolwiek też niema mowy. Zdawałoby się, że gość kompletnie zadowolony więcej się już nie pokaże,—ale gdzież tam —jest! —“mankiety do spodni za wąskie,” “może jest większy numer,” “skarpetki też mogłyby być mniejsze.”

A spróbuj człowieka coś powiedzieć takiemu, albo nie pozwolili obejrzeć. Od razu chór głosów krzyczy:

— To pan taki Polak?! A gdzie braterska dłoń w potrzebie, a gdzie zespolenie narodu na obczyźnie, a gdzie koleżeństwo?!

I rad nie rad wyciągasz wszystko jeszcze raz, mierzysz, zachwalasz i robisz się człowiekiem podobnym do żydka handlującego starzyzną na “Wolówce.”

Po trzech dniach klientela rzadnie. Można pomyśleć o ubraniu własnej osoby i zrobieniu zestawienia magazynowego.

W obozie—spokój. Bractwo pięknie przyodżiane paraduje po miasteczku, kokietuje przemiłe Szkotki, spija kawę i herbatkę w kantynie, a ty podoficerze materiałowy siedzisz w namiocie i liczysz każdy kawałek i drżysz na myśl, czy przypadkiem ci nie zabraknie jednego ręcznika lub skarpetki. . .

Ale trudno . . . Taka już jest dola wojaka, który ma zaszczytną “funkcję.”

SZLACHETNA ŻĄDZA CZYNU WOJENNEGO

Niech nikt nie sądzi, że życie nasze w obozach w Szkocji jest wypełnione tylko ćwiczeniami, a pozatem jest szare i bezbarwne, jak mgła tutejsza. Przeciwnie—życie nasze pulsuje w najróżniejszych przejawach, przeżywamy stale nowe wzruszenia, a służąc pod polskimi sztandarami przy boku potężnego sojusznika brytyjskiego mamy nie tylko nadzieję, ale i pewność, że znowu będziemy Narodem wolnym i potężnym.

Dni ostatnie w obozach naszych stały się szczególnie jasne, przynosząc wiele radości i emocji. Widać było dużo rozgorączkowanych twarzy i niespokojnie kręcących się postaci, przeprowadzających szeptem tajemnicze rozmowy.

— Cóż to się stało ?

Zdradzimy tę tajemnicę ! Otóż powstały możliwości wstąpienia do służby w Polskiej Marynarce Wojennej.

Przekonaliśmy się w tych dniach, jak wielkie jest nasze umiłowanie morza i pęd do służby w marynarce. Niespełnione marzenia wielu z nas mogły się wreszcie ziszczyć. Niestety znowu nie dla wszystkich znalazło się miejsce. Wielu musiało z żalem zrezygnować z tej szlachetnej służby.

Nie awanturczość, nie żądza przygód niebezpiecznych i ciekawych pchała tych młodych ludzi do marynarki—ale przekonanie, że w każdej godzinie służby i na każdym miejscu mogą walczyć z wrogiem. Napewno każdy z tych nowych naszych marynarzy nosi na dnie serca nadzieję, że to on pierwszy wpłynie na polskie wody i pierwszy postawi stopę na polskim wybrzeżu.

Komendant Szkoły marynarki Wojennej był szczerze wzruszony, rozmawiając z młodymi ochotnikami. W oczach ich znalazł to, czego szukał, bezgraniczną miłość Ojczyzny i umiłowanie służby na morzu. Radował się, że taki element dostaje do szkolenia i że takich żołnierzy otrzyma nasza Marynarka.

Szczęście Wam Boże, Oficerowie Polskiej Marynarki Wojennej w zaszczytnej pracy szkoleniowej. Puśćcie tych młodych chłopców jaknajprędzej do dział i maszyn okrętowych, a zadziwi się świat cały i drogo zapłaci wróg za kradzież Polskiego Morza.

Wielki to zaszczyt służyć w Marynarce wojennej, i sprawiedliwa to dla was—nowi marynarze—nagroda, bo prawie wszyscy opuściliście Kraj w styczniu i lutym br. brnąc przez kilka dni i nocy przez głębokie śniegi karpackiej granicy. Słusznie Wam przypada w udziale zaszczyt stąpienia po tym skrawku naszej Ojczyzny, jakimi są pokłady naszych okrętów wojennych i słusznie Wam należy przejąć tradycję bohaterstwa załóg ORP Grom, ORP Wieher i okrętu podwodnego Orzeł.

Przyjdzie—bo przyjść musi taki dzień zwycięski—kiedy Flota Polska wpłynie na Bałtyk. Zbliżyście się do naszego wybrzeża, miniecie latarnię rozewską i cypel helski. Wasze utęsknione oczy zobaczą Gdynię—cud, półwysep helski, Westerplatte, Oksywie i Orłowo. Powitają Was radośnie cienie poległych, przekonawszy się że krew ich nie poszła na marne.

Przejdziecie miejsca, gdzie zginęły w nierównej—bohaterskiej—walce ORP Wieher, Nurek i Gryf. Zrzucicie na ich groby wieńce i zagrzmią działa okrętów salutem, witając kolebkę Polskiej Marynarki Wojennej—Oksywie.

Rzucicie wieńce w zatoce, gdzie leży s/s Olza, pierwszy polski statek, budowany na własnej stoczni w Gdyni, który nie doczekawszy się całkowitego wykończenia, został w dniu I. IX ub. r. jako kadłub

spuszczony na wodę napełniony ropą i jako bunkrowiec zaopatrywał walczące okręty.

Nie wyjdziecie już napewno z szeregów Marynarki Wojennej, do której teraz dobrowolnie wchodzicie, pełni nadziei, że morze dostarczy wam większej ku niemu okazji.

chętniejszym porywem—ŻĄDZY CZYNU WOJENNEGO i pełni nadziei, że morze dostarczy wam większej ku niemu okazji.

Dla nas zaś wszystkich zostaje jeszcze jedna prawda, której przemilczać nie chcemy. Żołnierz Pierwszej Brygady

Strzelców rwie się do Czynu wojennego zakrojonego na najszerzą skalę.

Nie wyjdziecie z szeregów marynarskich, lecz zostaniecie w nich, aby następne pokolenia wyszkolić, dźwigając banderę Rzeczypospolitej wyżej, coraz wyżej . . .



Jesień w żołnierskim obozie

OGŁASZAMY POWSZECHNĄ MOBILI- ZACJĘ TALENTÓW

Zapraszamy wszystkich chętnych Kolegów, do współpracy.

Prosimy o przekazywanie materia-
łów

za pośrednictwem oficerów oświa-
towych.

Pamiętajcie ;

Od Waszych chęci

od Waszej inwencji

od Waszych zdolności

*od Waszych artykułów, wierszy, pio-
senek i rysunków zależy repre-
zentacja Waszego oddziału w
słowie i rysunku, w "Czacie."*

Redokeja.

ARTYSTKI—OBYWATELKI



Mira Grelichowska i Włada Majewska

Ulubione artystki "Lwowskiej Fali" dzielą z nami od roku żołnierską dolę. Dopomogły wielu naszym kolegom do wydostania się z za drutów w Rumunji, krzepiły nas w Francji polską piosenką. Dziś z kolei w Szkocji darzą nas w obozach najmiłszym nśmiechem wspomnienia Ojczyzny i nadzieją powrotu do Niej w żołnierskiej sławie.

DO SCHRONÓW NIEMCE !

*Do schronów ! Czemu nie krzyczycie : heil !
Wasz "Lebensraum" jest nieporównany.
"Gott strafe England !" —Słyszycie odpowiedź,
Jak ją skandują mocno Hurrican'y ?*

*"Die Strasse frei !" —brunatne bataljony
Czemu nie suną dziś paradnym krokiem ?
Jeno się chyłkiem przemykają, bokiem
Do miejsc, gdzie napis szyderczo brzmi : schrony.*

*Do schronów Niemce ! Pod ziemią, jak krety
Ryc się będziecie w panice i strachu,
Gdy nad głowami zabraknie wam dachu
A w sercach wrogów litości—niestety !*

*Za owe "Deutschland über alles"
I skrupulatnie obliczone zyski . . .
Spadną angielskie, twarde pięści
Na wasze, krwią splamione, pyski.
Wśród pięści błysnie polskie ramię
Które na odlew bije z mocą
I cios wymierzy, hej ! Germanie
Aż zęby zagrzeczocą !
Zwycięski odgłos poprzez morza
Do Polski, hen, doleci . . .
I peunie płakać będą żywi
Lub śmiać się jako dzieci !*

*I, przeklną pamięć waszą matki,
Co tyle łez wylały gorzkich.
Żołnierskie przeklną was mogiły
W Alejach Ujazdowskich. . . .*

* * *

*"Hier war die Stadt Siedlce." I będą.
Na fundamentach z betonu
Stalowe konstrukcje osiedlą
Po chwili waszego skonu ! . . .*

*Na skrzyżowaniu asfaltowych ulic
/By sprawnie mknęły pięknych aut szyki/
Kierunek jazdy wskażą białe linje
Złamane w kształt swastyki.*

*Dyrygent ruchu—policjant
Wspaniałej postaci chłop,
Tak sobie czasem pomyśli
Śląc w przestrzeń sygnał : stop !*

*—Tu były Niemce i poszły !
Me nogi depcą ich znak,
Straskane kości się zrosły
Bo przecież musiało być tak !*

* * *

*Do schronów ! Ogniem z powietrza i z ziemi
—Choćbyście nawet okazali skruchę—
Trzeba was palić ! Aż będziecie niemi
I oszaleją wasze serca głuche.*

*Iżbyście w klęski ostatniej godzinie
Pojeśli grozę narzuconą światu
I w łeb strzelając rodzonemu bratu
Wiedzieli, za co on ginie.*

*Do schronów Niemce ! Lecą Hurrican'y
Z nimi eskadra polska "303"
Już słycać syren ton nieokielzany
Ziemia rozpada się i drży !*

K. Bil.

JAK ZOSTAŁEM KINO-OPERATOREM

W obozie "leśnych dziadków" pod pięknymi namiotami, choć wokół wzgórz wabily zielonością a puszyste barany, radując serce, podchodzili blisko, aby wprost z ręki brać kawałki chleba—człowiek kisał powoli i pleśniał, gdyż słońce uśmiechało się rzadko a utrapiony deszcz wygrywał smętne melodie na naciągniętym płótnie namiotów, zmuszając do bezczynnego wylegiwania się na wilgotnym barłogu. A wtedy ponure myśli przychodziły do głowy, człowiek zgrzytał zębami, lub kiwał palcem w bucie, co, zresztą, miało jednakowy skutek. Tak minął lipiec. I jakoś niespostrzeżenie przesunął się fakt, iż którejś niedzieli zapisywano tych, którzy mieli coś wspólnego z filmem, ściślej—z kinooperatorstwem. Jeszcze jedna ewidencja więcej nie robiła już wrażenia. Zapisałem się, ponieważ jestem dokładny i wszystkie swoje osobiste dane chętnie zawsze władzom komunikuję. Z filmem, istotnie, stykałem się swego czasu dość blisko. Ongi miałem nawet światoburcze zamiary. Ukończyłem szkołę filmową, która przysporzyła polskiej kinematografii najslawniejszych gwiazd, kierowałem się na reżysera, byłem jednym z założycieli spółdzielni filmowej, której żywot był jednak krótki z braku tego, co jest najważniejsze i co zazwyczaj nie trzyma się idealistów i wszelkich szalonych głów. Pozatym miałem kiedyś aparacik foto-Baby, filmowałem rozmaite scenki i aktualności rodzinne, wyświetlając je później. Zapisałem się więc z czystym sumieniem, nie przywiązując zresztą do tego aktu żadnych dalszych i doniosłych konsekwencji. Los jednak bywa czasem łaskawy i chowa w zanadrzu najbardziej nieprzewidziane rozwiązania życiowych sytuacji.

Któregoś dnia gruchnęła w obozie szalona wieść, że taki to a taki ma natychmiast jechać do Londynu. Zdebiłem. Ciśnienie krwi wzmogło się raptownie a serce mało nie trzasło. Jak to, tak odrazu. Z półkuli baranów do stolicy najpotężniejszego imperium? Do mitycznego dla mnie Londynu? Rozsądek nakazywał daleko idący sceptycyzm, wiadomość jednak okazała się prawdziwą. W myśl zasady omnia mea mecum porto, spakowałem manatki i wyruszyłem w drogę dla ostrożności tegoż dnia jeszcze. A nuż było to jakieś nieporozumienie?

Londyn, choć mógłby przygnać swym ogromem, rozradował mnie mile mnogością zielonych przestrzeni. Oglądałem, pobieżnie coprawda, bardzo wiele stolic europejskich. W Londynie również byłem tylko parę dni, twierdząc jednak, nie kusząc się bynajmniej o jego opis, że

jest miastem ładnym, a londyńczycy—przemitymi ludźmi. W obcowaniu z nimi wynalazłem—nawiasem mówiąc—świetny sposób, pozwalający mi unikać kompleksu niższości, jaki odczuwa bodaj każdy, kto nie zna języka rozmówcy, na którym mu zależy. Chcąc, na przykład, uzyskać od przechodnia jakąś niezbędną dla mnie informację, interpelowałem go z punktu: Do you speak french? No—następowała zwykle odpowiedź. Pytania moje sypały się na nieszczęśliwca jak grad: do you speak german, do you speak russian, do you speak polish? Odpowiedzi brzmiały crescendo: no, no, no. . . . Wtedy, syt chwały, zaczynałem suplać moje nieliczne wyrazy angielskie, wyjaśniając cel in-dagacji. Skutek zwykle był doskonały i mój londyńczyk wylaził ze skóry, aby mnie ponformować należycie.

W Londynie, przy cudnej pogodzie podziwiałem kamienne koronki opactwa Westminsterkiego i gmachu parlamentu, przepych katedry św. Pawła, dostojne linie Temple' u i Tower Bridge, średniowieczną zamk i kojącą kieleń Hyde Parku. Alarmy lotnicze, choć częste, miały wówczas bez żadnych absolutnie wrażeń. Widziałem dużo różnorodnych polskich urzędów, w których co chwila spotykało się tylu dawnych i dobrych znajomych. Kiedyś, na przykład, uroczy głosik, sekretarki pewnej wysokiej osobistości powitał mnie słowami: Ależ, panie Pawelku, my znamy się przecież oddawna. . . . Tu kobieciątko zarumienilo się zlekka, gdyż istotnie znaliśmy się dawno, coś około 20 lat temu. Stwierdzam jednak obiektywnie, iż nie zmieniliśmy się bardzo od tego czasu i nadal jesteśmy piękni i młodzi.

Pierwszej nocy w hotelu było mi po namiotowym spaniu jakoś niewyraźnie na wysokim miękkim łóżku, a w restauracji, po zjedzeniu pierwszego obiadu, przyszła niedorzeczna myśl do głowy, aby iść obmyć talerz, zanim tłuszcz nie skrzepnie, jak to bywało z obozową menażką. Zreuropeizowałem się jednak daleko łatwiej.

Słoneczne dni, jakie panowały niezmiennie w angielskim obozie podczas kursu kinooperatorskiego, minęły szybko. Poznałem doskonale aparaty wąskotaśmowe, nieme i dźwiękowe, za pomocą których Angliacy szkolą swych rekrutów, wyświetlając im przeróżne filmy, nagrane na miejscu w obozowej wytwórni, miałem możliwość poznania świetnej pod każdym względem organizacji pracy angielskiego wojska, przyjrzenia się wewnętrznemu życiu obozu oraz nienagannemu sposobowi bycia angielskich oficerów i żołnierzy.

Po powrocie w "rodzinne" szkockie strony odczułem dopiero w całej pełni doniosłość zmian, jakie nastąpiły w moim życiu dzięki wydobyciu na światło dzienne moich filmowych dawnych aspiracji. Blogosławie, jak dotąd, te zmiany, gdyż dały mi one sposobność pracy nie tylko w dziedzinie, która mi jest sympatyczna, ale wogóle pracy aktywnej i, mam na-

dzieję, pożytecznej. Otrzymałem przydział do jednej z brygad, o której śpiewa stara piosenka i—póki co—nie muszę odeuropeizowywać się.

Tak oto zostałem kinooperatorem i może los pozwoli, że nie będę tego żałował.

Paweł Miller.

Nasza orkiestra



*Kapelmistrz znalazł się w króliczej jamie,
Muzyków chytre spędziły rozkazy,
Nuty się jakoś napisały same,
[Psim swędem—rzczyby można, bez urazy]
Trąby i bębny data białogłowa,
No i orkiestra gotowa.*

*Ledwie się pierwsza próba zakończyła,
Na muzykantów strach padł dzinienie blady,
Dech ugrzązł w trąbach, krew zastygła w żyłach:
General kazał grać do defilady!
Pękła z łoskotem kapelmistrza głowa,
No i orkiestra gotowa.*

*A dziś? Sam artyzm z trąb trzydziestu bucha,
Kiedy na rynku grają wirtuozy.
Cierpliwym naród szkocki kornie słucha
Pelen zachwytu i . . . ponurej grozy.
Pod pulpitem wlezie Szkotka ta i owa,
No i orkiestra gotowa.*

*"Kiedyś po latach"—jak mówi poeta,
Po defiladzie Brygady w Warszawie,
Zaciągniem "bandę" naszą do Bukieta.
Wtedy skutecznie, po suchej zaprawie,
Wsiąknie w puzony "czysta wyborowa,"
— Orkiestra będzie gotowa.*

A. K.

Pognała wojna

Piosenka żołnierska

Melodja ludowa,—słowa Adama Kowalskiego.



Pognała wojna na Bukowinę
Z nad modrej Wisły wojsko jedyne,
Pognała, rozbiła,
Za drutami nad Dunajem więzila.

Z więzień, z niewoli żołnierz uciekał,
Zwabiła wszystkich Francja daleka.
Zwabiła, zmanila,
Dobrowolnie głowę w jarzmo włożyła.

Z płochliwej Francji do dzielnej Szkocji
Przybyli nasi waleczni chłopcy.
Musztrować, wojować,
Po angielsku ze szwabami tańcować.

Nigdy nas,—nigdy wróg nie powali,
Będziem się bili o Polskę dalej,
Miesiąc, rok, czy pięć lat,
Aż do skutku, aż udlawi się psubrat.

A jak szczęśliwie wojnę wygramy,
Wrócimy wszyscy zdrowi do mamy,
Do lubej dziewczyny
Po najstodsza, po nagrodę za czyny.

Uradowana, żeś się odnalaził,
Da ci najmilsza buziaka zaraz.
Jak zaraz—to zaraz,
Siedemdziesiąt siedem razy,
raz po raz!

Wspomnienie lata



W żniwach brali udział również żołnierze polscy, pomagając w wolnych chwilach gościnnym gospodarzom Szkotom w zbiórce plonu

WIĄZANKA SZKOCKA

Teksty Adama Kowalskiego-rysunki Mariana Walentynowicza



HEJ TAM PRZEZ ATLANTYK

Wojsko Polskie płynie,
Póki w garściach karabiny,
Polska nie zaginie,
Polska nie zaginie,
Poczekajże Niemcze,
Ty plugawa duszo,—
Nie poddali się Polacy,
Znowu w boje ruszą,
Znowu w boje ruszą.

★

JESTEM SOBIE CHŁOPIEC
MŁODY, DY, DY,
Wielkie w Anglii mam wygodę, dy, dy.
Banany, morele,
Z parawanem fotele,
Miesiąc deszczu, dzień pogody, dy, dy.



ZA GÓRAMI, ZA LASAMI
Tańcowały polskie Jasi ze Szkotkami;
Przyszł na to pan kapitan
I do tańca najładniejsze powychwytał.
Przyszł na to sam generał
I po cichu też do Szkotek się dobierał.

★

PRZYBYLI ŻOŁNIERZE DO
MIASTECZKA,
Pytają, gdzie ładna praczka mieszka.
Przybyli do wioski, do pobliskiej,
Szukają, pytają, gdzie jest whisky?

★

KSIĄDZ MI ZAKAZOWAŁ
Abym nie fasował
Repety, repety.
A ja sobie muszę
Uradować brzuszek,
Niestety, niestety.



SZKOT MNIE PIĘKNIE PROSIŁ,
Abym kciuk podnosił,
Bo tak trza, bo tak trza.
Dla mnie to nie sztuka,
Wyprostować kciuka
Nawet dwa, nawet dwa.

★

SMUTNA, SMUTNA, SMUT-
NA, JEST DOLA MA
Bo mamcia Anglja nie rozumiała,
Czego mi trzeba.
Jasiu, Jasiu, czego ty jeszcze
chcesz?
Masz pelerynkę i margarynkę,
Funtę, "jam" i pieprz.



O MÓJ REUMATYZMIE, ROZWI-
JAJ SIĘ!
O mój reumatyzmie, rozwijaj się,
Skarbie mój jedyny,
Pójdę do kantyny,
Przepiję cię.

★

CZEMUŻ TY WOJAKU
Pod jaworem stoisz?
Czy się wieszac myślisz?
Czy się bomby boisz?
Hop, dziś, dziś itd.
Wieszac się nie myślę,
Lecz wdycham głęboko,
Bo wszystkie "szelagi"
Przegrałem dziś w "oko."
Hop, dziś, dziś, itd.



PROSIŁEM JĄ KOŁO PŁOTU
Żeby weszła, weszła do namiotu,
Do namiotu, bez kłopotu,
Chwilkę pomieszkać.
Ale ona wejść nie chciała,
Bo się służbowego bardzo bała.

WIĘC DO SIEBIE NA KWATERĘ
Zaprosiła mnie.

★

ANGLIŚ MOJA, ANGLIŚ,
Cóżes za Anglisia,
Że mnie bananami,
Że mnie bananami
Napychasz tak dzisiaj.



BECY, OWCA, BECY
Na szkockiej polanie,
Hej, pewnie ją ostrzygli
Strzelcy—Podhalanie.
Pewnie ją ostrzygli,
Ogolili pewnie.
Hej, bedom chłopcy spali
Na mięciuskiej wełnie.

★

TAŃCOWALI ŻOŁNIERZE
Na jangielskiej kwaterze.
Co przytupnom,—to nucom,
Że do Polski powrócom!
Hej!

WYDAJE REFERAT KULTURY I OŚWIATY DOWÓDZTWA I BRYGADY

Adres Redakcji i Administracji: c/o Head Post Office, Glasgow, Box 6.

Printed for "Czata" by Oliver and Boyd Limited, Tweeddale Court, 14 High Street, Edinburgh